

Jacek Wojciechowski, Kamil Śliwowski

"Open Educational Resources mythbusting", Karolina Grodecka, Kamil Śliwowski, Creative Commons 2014 : [recenzja]

Biblioteka 19 (28), 283-287

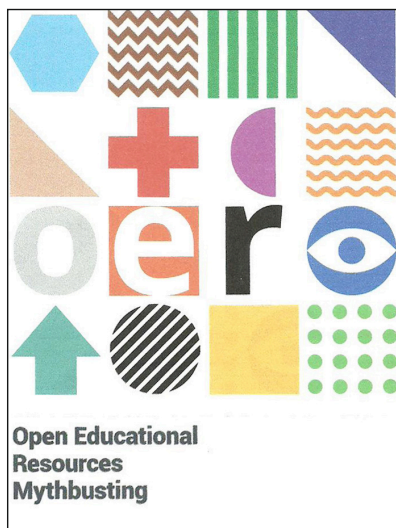
2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JACEK WOJCIECHOWSKI

Karolina Grodecka, Kamil Śliwowski,
Open Educational Resources mythbusting, Creative Commons 2014, s. 36 [dokument elektroniczny]



Sebastian Kotuła odniósł się tylko do jednego z aspektów aktualnego funkcjonowania komunikacji naukowej, w ujęciu tzw. *open*, skupiając uwagę na oprogramowaniach i kodach źródłowych. To obszar ważny, chociaż w praktyce mniej zauważalny. Natomiast komentatorzy i obserwatorzy *open access* – tak się składa, że przeważnie biblio-informatolodzy i bibliotekarze – koncentrują się głównie na rozpowszechnianiu treści w tym trybie, formułując opinie dość często kontrowersyjne, a niekiedy wręcz irracjonalne.

Charakterystyczne, że chociaż od pierwszych wypowiedzi na ten temat (Budapeszt 2001) minęło już 15 lat, ruch OA nie rozpowszechnił się tak, jak zapowiadano. Bardzo możliwe, że pośród koncepcjonistów oraz dyskutantów za mało jest głównych zainteresowanych, czyli **kreatorów** nauki, których do współpracy zaprasza się rzadko, natomiast łatwo i bezpodstawnie oskarża o celowe obstrukcje¹. Przedmiotowe deklaracje, zarówno budapeszteńska (2001), jak i berlińska (2003), pochodziły głównie od bibliotekarzy, a to trochę tak, jakby o restauracyjnym menu chcieli rozstrzygać kelnerzy, z pominięciem kucharzy. Bez udziału znawców zagadnienia i głównych aktorów, nie da się niczego rozstrzygnąć racjonalnie.

¹ A. Książczak, *Repozytorium Uniwersytetu Warszawskiego. Trudna droga ku otwartości w nauce*, w: *Nauka o informacji w okresie zmian*, Warszawa 2014, s. 181, 191.

Pierwotne, mocno naiwne, a nawet baśniowe pomysły na *open access* doczekały się z czasem bardziej zróżnicowanych i lepiej przemyślanych wariantów koncepcyjnych oraz inicjatyw wdrożeniowych – zwłaszcza kiedy wzięli się za to praktyczni do bólu Amerykanie. Mimo to nadal krążą i przeważają wersje uproszczone i w otocze rozmaitych mitów nie znajdując dostatecznego wykonawstwa. W tym kontekście tekst autorstwa Karoliny Grodeckiej i Kamila Śliwowskiego warto potraktować z należytą uwagą.

Trzeba zwłaszcza stanowczo odrzucić sugestię – odstręczającą pracowników nauki – sformułowaną w kręgach bibliotekarskich bez dostatecznego rozeznania i przemyślenia, aby profesjonalnych autorów publikacji (nie tylko) naukowych pozbawić prawa do wynagrodzenia za to, co wprowadzą do obiegu w trybie *open access*². No bo nie wprowadzą. A to jest piramidalne nieporozumienie i nonsens, dlatego znowelizowane koncepcje OA wcale takiego warunku – jako obligatoryjnego – nie formułują.

Patrząc zaś z innej, mianowicie bibliotekarskiej strony, trudno zrozumieć entuzjazm wobec OA w wydaniu właśnie bibliotekarzy. No bo jak na razie to akurat biblioteki są najlepszym urzeczywistnieniem tej idei. Gdyby natomiast powszechnie wprowadzono *open access* w wersji pierwotnej, więc jako jedyną lub główną formę publicznej dystrybucji treści, to byłby koniec bibliotekarstwa jako takiego. Tylko w samej Polsce kilkadziesiąt tysięcy dotychczasowych pracowników bibliotek musiałoby *przenieść się* na krótkotrwałe zasiłki, a potem... Czy nikt tego nie zauważył?

Naturalnie: rzeczywistość ukształtuje się niezależnie od tego, czy tak w bibliotekach zechcemy, czy nie, ale trzeba dostrzegać zagrożenia, które powodu do uciechy nie stanowią na pewno. Jednak w ramach OA są i takie rozwiązania, które nie eliminują bibliotek z obiegu, trzeba je zatem rozpoznać i zaadaptować do celów oraz do warunków własnych. Taką szansę stwarza formuła **Creative Commons**, o której – a właściwie o jednej z możliwych aplikacji – piszą oboje autorzy.

W ogóle Creative Commons (o tym nic w tekście nie ma) to niekomercyjna organizacja amerykańska, założona w 2001 roku. Ma główną siedzibę w Mountain View (Kalifornia), ale teraz uzupełnienie stanowi szereg oddziałów zagranicznych, w tym (od 2005 roku) polski. Przesłanką powstania było poszukiwanie kompromisu pomiędzy zachowaniem przez autorów należnych im praw a możliwie łatwym dzieleniem się dokonaniem i rozpowszechnianiem wyartykułowanych treści, zwłaszcza

² Ibidem, s. 190; W. Crawford, *Open Access. What you need to know*, Chicago 2011, s. 8, 41.

naukowych, informacyjnych i edukacyjnych. Nad tym w różnych deklaracjach *open access* nie zastanawiał się przedtem nikt.

Wygląda na to, że tym razem pojawiły się **racjonalne** podstawy rozwiązań praktycznych – co szczególnie ważne: odpowiednie również dla bibliotek – a w każdym razie są ku temu pomyślne rokowania. Jak zauważyłem, na licencjach Creative Commons opierają się już repozytoria szeregu uczelnianych bibliotek (również w Polsce – np. BJ) i to z rozmaitym ukierunkowaniem. Niedawno znana amerykańska biblioteka uniwersytetu w Urbana-Champaign (Illinois) – w tej uczelni pracował Michael Gorman – pochwaliła się, że aplikacje Creative Commons wykorzystuje także do celów rekreacyjnych i to nawet w większym stopniu niż do zadań edukacyjnych³. Nawet jeśli to przesada, to jednak symptomatyczna.

Grodecka i Śliwowski charakteryzują aplikacje edukacyjne – **Open Educational Resources** – przez wielu zainteresowanych akceptowane, jakkolwiek nie brakuje też opinii negatywnych, zwłaszcza formułowanych przez wydawców. Intencją autorów jest klarowna eksplikacja reguł oraz eliminacja nagromadzonych mitów. Czynią to z przekonaniem, szkoda natomiast, że nierzadko gołostownie, bez odpowiedniej argumentacji.

Oto więc pojawia się lista zastrzeżeń, ale nie wiadomo czyich. Dominują zarzuty nieprofesjonalności licencjonowanych materiałów OER (61%), trudności w stosowaniu (56%) i nadmiernej czasochłonności w korzystaniu (50%) – wszystkie zdaniem autorów bezzasadne. To możliwe. Jednak nikt nie wie, co to za odsetki, skąd pochodzą i kogo dotyczą, są zatem jak liczby w lotto. Podobnie jest z odsetkami korzystających: 71% uczących się w USA i jeszcze wyższe (czyli jakie?) w Belgii, w Norwegii oraz w Holandii. Bo też nie wiadomo, wobec kogo odnoszone, ani jak zostały skonstruowane. Tak więc tę część formuły tekstu trudno akceptować bez wątpliwości.

Ponieważ jednak wiele innych sygnałów wskazuje, że licencje Learning Commons coraz częściej stają się fundamentem proedukacyjnych ofert bibliotecznych⁴, warto zapoznać się z innymi komentarzami obojga autorów. Otóż napisano w tekście – i to jest bardzo istotne – że te licencje bynajmniej nie eliminują autorskich honorariów. Nie ma tylko **tantium**, czyli opłat za każdorazowe korzystanie (to w ogóle zdarza się w komunikacji piśmienniczej rzadko), no i odbiorca/użytkownik sam nie ponosi żadnych kosztów bezpośrednich. Te coraz częściej biorą na siebie instytucje publiczne lub inni sponsorzy, natomiast – wbrew temu, co sugerują liczne deklaracje OA – **nie** obciążają samych autorów, ani nie pozbawiają ich wynagrodzenia. Chyba że zrzekną się z własnej woli.

³ M. Conner, *The new university library. Four case studies*, Chicago 2014, s. 127–128.

⁴ Ibidem, s. 146.

Depozytariusze oraz odbiorcy otrzymują prawo do bezpłatnego i nieograniczonego wykorzystywania materiałów z OER do celów dowolnych (chyba że konkretne postanowienia są inne), ale jeśli przetwarzają je w obiegu publicznym, to z obowiązkiem wskazania, skąd wykorzystane treści pochodzą. W ten sposób (tak jak dotychczas) prawa autorskie zostają zachowane i nie ma znamion plagiatu.

W tekście napisano, że dotyczy to również wykorzystywania dla celów komercyjnych. Otóż mam co do tego spore wątpliwości. Klóci się to bowiem z logiką oraz z innymi deklaracjami Creative Commons⁵.

Natomiast jest prawdą, że materiały licencjonowane podlegają stosownej weryfikacji merytorycznej i redakcyjnej – niekiedy są także recenzowane – toteż ich wiarygodność jest taka sama jak w całej komunikacji, chyba że zostaną przejęte z nieautoryzowanych źródeł. Oczywiście, zarówno uczący się, jak i nauczyciele/wykładowcy muszą nauczyć się, jak ich używać oraz adaptować do własnych potrzeb, co początkowo może zająć trochę czasu, ale w końcu tak bywa ze wszystkim co nowe.

Pisząc o rosnącej praktyce ponoszenia kosztów tych licencji ze środków publicznych, także rządowych, oraz o potrzebie dalszego jej rozszerzenia, autorzy – nie wiadomo dlaczego – sygnalizują związane z tym zagrożenia upolitycznieniem. Otóż ono istnieje zawsze i wszędzie, a w tym wypadku wcale nie jest większe niż w potocznej praktyce komunikacyjnej, kulturalnej, edukacyjnej, oraz nawet naukowej. Kto sądzi, że (na przykład) internet jest wolny od politycznych lub innych arbitralnych wpływów, ten daje świadectwo wielkiej naiwności.

A już w żadnym razie nie odpowiada rzeczywistości zawarta w tekście gołosłowna opinia, że projekty OER stanowią wsparcie dla **rynku** wydawniczego. Właśnie stąd biorą się kontrowersje – o czym zresztą w innym miejscu napisano – że wydawcy dostrzegają w tym ruchu zagrożenie dla siebie i trudno w pełni odmówić im racji. Ważne, żeby ten demoniczny mit konkurencyjności rozwiązać, przynajmniej częściowo, w odniesieniu do bibliotek – chociaż **całkowicie** nie jest to możliwe. Otóż ta publikacja mogłaby temu posłużyć. A czy rzeczywiście posłuży? Myślę, że jednak w mniejszym stopniu, niż (zapewne) pierwotnie zakładano.

Tekst jest bowiem w języku angielskim. Niby rozumiem: idea amerykańska, organizacja też, praktyka ma międzynarodowy charakter, wobec tego wywód anglojęzyczny w internecie uzasadnia się na pozór dobrze. Rzecz w tym jednak, że opinii na temat Creative Commons oraz OER, w sieci globalnej trochę już było i jest. Zatem podstawowy sens wypowiedzi, polskich w końcu autorów, zawiera się w skierowaniu do polskich

⁵ *Poznaj licencje Creative Commons* [dokument elektroniczny].

odbiorców. A tak utarło się w 36-milionowym kraju, że tutejsza mowa nie jest tubylczym narzeczem, ale pełnoprawnym językiem, używanym również w komunikacji naukowej i okołonaukowej (omawiany tekst nie jest naukowy). I tego lepiej nie łamać bez ważnej potrzeby.

W rezultacie zaś – szkoda! – zauważą tę wypowiedź w Polsce nieliczni i to niekoniecznie akurat ci, dla których byłaby najbardziej użyteczna. Oczywiście – jak wspomniałem, są w sieci także inne opinie o Creative Commons i pochodnych aplikacjach, sformułowane również po polsku, ta jednak dodaje sporo informacji nowych i praktycznie pozytywnych.

Jest natomiast w tym tekście trochę literówek i nawet trafił się (s. 11) wtręt w języku polskim. To znaczy, że weryfikacja/korekta nie była wystarczająco staranna.